

O co ta wojna?

„W obronie drzew” – film dokumentalny, fr.-kan., kanał „Planeta”

Rzadko zdarza mi się zasiadać przed szklanym ekranem, ale tym razem zaintrygował mnie tytuł. No i ewenement kanału przeznaczonego wyłącznie dla filmów dokumentalnych, tłumaczonych w dodatku (w „kablówce”) na nasz rodzimy język!

Pierwsze obrazy kojarzyły się z wojną. Całe wzgórze wylesione i poprzerywane naprędce i niechlujnie wytyczonymi drogami leśnymi, z lotu ptaka był to widok wstrząsający. Nie mogłam oprzeć się temu wrażeniu już do końca – że w istocie rzeczy jest to wojna. I jeszcze towarzyszyła mi myśl o powtarzalności sytuacji, ludzi i słów – panowie z kanadyjskiego ministerstwa przekonywali, że nie dzieje się nic złego i wszystko przebiega w majestacie prawa; panowie z korporacji handlujących drewnem udowodniali, że sukcesem jest posadzenie „aż trzech gatunków drzew” w miejsce pierwotnej puszczy i jak wspaniale udało im się odnowić w ten sposób stan poprzedniej różnorodności biologicznej (!); garstka zapaleńców przykuwała się do drzew i tarasowała drogi; drwale wskazywali na zagrożenia: „Naszej pracy najbardziej zagrażają ekolodzy. Musimy być realistami”. Być realistą w tym języku zapewne oznacza robić, co ci każą i nie zastanawiać się, w jakim celu. A także nie dopuszczać do głosu emocji.

O co naprawdę toczy się ta wojna i kto jest przeciw komu? Najprościej – i najefektywniej z punktu widzenia retoryki – byłoby powiedzieć: ludzie przeciw Naturze. To jednak nie cała prawda. Właściciel prywatnego niewielkiego tartaku powiedział: „Jeśli nadal będziemy wycinać pierwotne lasy tak, jak teraz, pewnego dnia w ogóle ich zabraknie”; leśnik prywatnego lasu rozumie, że wyrąb selektywny z maksymalną ochroną runa leśnego to zysk mniejszy, ale pewny i rozłożony na długi okres. Miejscowa społeczność nie zgadza się na plany „zagospodarowania” ich terenu przedstawione przez jedną z korporacji. Więc jak to jest? Najprostszą odpowiedź na to pytanie dali miejscowi: „Cudowne pierwotne lasy są wystawione na pastwę lokalnych polityków i międzynarodowych korporacji”. Lokalnych polityków już w naszym kraju mamy, brak jeszcze tylko działalności międzynarodowych korporacji na taką skalę, które mamyby nas perspektywą „odtworzenia” lasu (z przeznaczeniem na wyrąb oczywiście) po tym, jak zdarły skórę z jednej czy drugiej góry. Lokalni politycy są zdolni do szaleńczych idei i co gorsza, wcielania ich w czyn omijając często prawo (vide Jaworzyna Krynicka, Pilsko i wiele innych przykładów), ale w przypadku międzynarodowych korporacji mamy do czynienia z planową i pozbawioną jakichkolwiek skrupułów czy sentymentów eksterminacją tego, co „dzikie” (czytaj: nie przynoszące zysku). I trudno już nawet sądzić, że taka postawa jest pochodną konkwisty pionierów chcących „ucywiliżować” czy „okiełznać” naturę, trudno też tutaj doszukiwać się pozostałości mechanistycznego światopoglądu zakorzenionego w kartezjanizmie czy pozytywistycznym modelu widzenia nauki bądź filozofii. Nie, tu już żadnej ideologii nie ma. Jak śpiewa Lech Janerka: *Apatia to żaden grzech, gdy wszystko zmienia się w kesz*. W tym wypadku apatia to przejaw ślepoty, chociaż pewnie wygodnie jest być ślepcem mamionym wizją gór pełnych pieniędzy (kesz od „cash”, czyli gotówka).

Oglądając takie obrazy trudno jest mi uciec od emocji i pewnie jest to coś wspólnego dla tych, którzy są po tej samej stronie, bo jedna z mieszkanek płakała mówiąc o tym, co przydarzyło się miejscu, w którym żyła. Myślę jednak (teraz, dobrych kilka dni po obejrzeniu filmu), że te emocje to „folgowanie sobie” jak by powiedział Don Juan Castaneda. Liczy się tylko to, co jest zrobione, nawet jeśli po tym seansie aż płakać się chce, że nic nie można zrobić, bo my to my, a wielkie korporacje są wszechpotężne. Liczy się to, co zrobione naprawdę rzetelnie i z maksymalną uważnością – czy jest to wiersz, muzyka, czy przygotowana kampania, czy też wydawane pismo, może obóz. W tym sensie wszystko to jest sztuką (sztuką w rozumieniu twórczości, a nie technice, czyli Jak-To-Zrobić-Żeby-Było-Nam-Jeszcze-Wygodniej), a w tej rozgrywce chodzi także o to, żebyśmy nie byli twórczy. Bo po co?

Przecież wielkim korporacjom łatwiej będzie sprzedawać towary, ideologie i obrazy bezwolnej masie konsumentów.

Warto jednak zadać sobie znowu pytanie: o co w tej rozgrywce chodzi? Nie łudzę się już, że możemy pomóc przyrodzie. Przyroda radzi sobie i z nami, i ze sobą. To my mamy kłopot. Wystarczy zobaczyć co się dzieje, kiedy w zimie napada śniegu, albo zbyt długo pada deszcz. Nagle nasze wspaniałe zdobycze cywilizacyjne typu samochód, poczta, elektryczność stają się ekscentrycznymi zabawkami dzieciaków. Patrzą przez okno na kotlinę, w której postawiono kilka bloków. Ona była tu zawsze (ta kotlina), my - nie. Jeżeli w napadzie szaleństwa niszczy się wszystko wokół siebie, a nawet dalej - to tak naprawdę zwraca się to przeciw nam samym. Takie oczywiste i wydawałoby się rozsądne, a nie rozumieją - raczej nie chcą tego rozumieć bossowie od wielkich firm tnących na żywca kanadyjską puszcę, rezydujący na stałe w Hongkongu. Kierowanie się w tym przypadku emocjami, czy raczej branie ich za rzeczywistość, byłoby folgowaniem sobie jeszcze z jednego powodu - mamy do czynienia z ludźmi, którzy chłodno kalkulują zysk. Aby móc cokolwiek obronić, trzeba rozumieć to, z czym się walczy. Apatia w tym wypadku jest ślepotą, nawet jeśli wygląda na to, że zmagamy się z przeważającą siłą. To, że odchodzi tyle żywych istot, których nawet nie mieliśmy szansy poznać - jest bolesne, ale klęską zakończy się dla nas. Natura wie lepiej, to my jesteśmy ślepi. I nie jest to żadna „ekologia strachu”, może raczej świadomość pewnych zależności, o których warto pamiętać.

Podskórnie toczy się walka o wyrugowanie „dzikiego” z naszej przestrzeni, także psychicznej. Moja intuicja podpowiada mi, że z każdym zastrzelonym wilkiem, z każdym wyciętym 300-letnim drzewem, z każdym gatunkiem bezpowrotnie odchodzącym w przeszłość mamy coraz mniej szans na równowagę w jakimkolwiek znaczeniu. Oni muszą tu być, bez nich odnalezienie pierwotnej, dzikiej i wolnej natury w sobie samym nie będzie możliwe. A nie odnaleziona - i tak znajdzie swoje ujście. Być może w postaci kolejnych morderców z kijami baseballowymi, być może w postaci kolejnej epidemii, kolejnych psychoz, nerwic i cierpienia.

I chyba nie chodzi o „ochronę środowiska”, film powstał w 1993 roku, a więc w dobie, kiedy każdy rozumie (i nawet w książkach o tym uczą), jak być „zielonym”. Rządy państw, firmy i politycy oficjalnie zdają się „dbać” o zielony image. Tak naprawdę sfera „dzikiego” jest rugowana i eksterminowana z naszego życia, wciąż łatwo manipulować masami wmawiając posłusznym (a więc udomowionym) barankom, że „dziki” to ten „Czarny”, „Zły”. Dla jednych Szatan, dla innych Zawada Na-Drodze-Do-Szybkiego-Wzbożacenia-Się.

Psychoanaliza naszego kręgu kulturowego mogłaby odkryć głębsze pokłady lęku, ale ani tu miejsce, ani czas na tego typu rozważania, zresztą każdy może tu sam odnaleźć własną prawdę, jeśli tylko starczy mu odwagi i samozaparć. Może tutaj tkwi też źródło zachowawczej i niejednoznacznej postawy dominującego w naszym kraju światopoglądu religijnego - przyroda w zasadzie tak, przecież św. Franciszek (inna sprawa, że natura w tej wersji ma nader łagodną twarz), encykliki papieskie itp., ale „dzikie”, „pierwotne” to już New Age i wymysły szatana.

Jak poradzić sobie z poczuciem bezsilności? Dlaczego robić cokolwiek, jeśli Natura wie przecież lepiej? Najsilniejszą chyba motywacją jest utożsamienie z tym, co dzikie, nawet jeśli nie przypomina to uładzonego landszaftu z podpisem „Dzika natura”. W obronie najbliższych staje się instynktownie, nie pytając po co i czy ma to sens, nie tracąc jednocześnie z oczu skuteczności i rzeczywistych efektów, choćby emocje rozszarpywały nas na strzępy.

Anna Nacher